

PAMIĘTNIKI, WSPOMNIENIA

Barbara Kretkowska¹

MOJE PRZEŻYCIA Z OKRESU II WOJNY ŚWIATOWEJ

W sierpniu 1939 roku bałam się okropnie, że będzie wojna. Dwóch moich starszych braci otrzymało karty mobilizacyjne i musieli się stawić w swoich pułkach. Najstarszy, oficer – w Poznaniu, drugi brat, plutonowy podchorąży – we Włocławku. Trzeci brat kończył właśnie podchorążówkę i został przydzielony do pułku w Krotoszynie. Do domu nie zdążył wrócić, bo wybuchła wojna, podczas której brał udział w walkach o Warszawę. Dlatego też 1 września – w dniu, w którym rozpoczęła się ta straszna wojna, a ja miałam 18 lat – byłam w domu z rodzicami i młodszą siostrą.

Wieczorem tego dnia uciekaliśmy z Gostynia razem z innymi ludźmi. Po drodze widziałam zbombardowane miasta i wsie. Na drogach leżały trupy ludzi i koni. Do domu wróciłam, razem z rodzicami i siostrą, 29 września. W następnym dniu przyszli Niemcy i aresztowali Ojca². Trzymali go przez tydzień i wypuścili – z tym, że musiał się meldować trzy razy dziennie na posterunku żandarmerii.

¹ Barbara Kretkowska, z domu Piątkowska, urodziła się 14 listopada 1921 roku w Gostyniu, jako córka Maksymiliana Piątkowskiego i Józefy z Tomaszewskich. Miała trzech braci: Mariana (1915-1940), Grzegorza (1919-1990) i Tadeusza (1920-2011) oraz siostrę Marię Irenę (1923-1996). Po powrocie z niewoli do Gostynia i zawarciu w 1950 roku małżeństwa osiedliła się na pewien czas w Szczecinie. W roku 1953 powróciła z rodziną na stałe do Gostynia, gdzie mieszkała do śmierci 13 września 1987 roku. Spoczywa na cmentarzu parafialnym. Wspomnienia spisała w połowie lat 80., kiedy bywała częstym gościem w Szkole Podstawowej nr 3 im. Przemysława II, gdzie podczas spotkań z młodzieżą opowiadała o swoich wojennych przeżyciach.

² Pisownia wielką literą określonych wyrazów uwzględnia decyzję Autorki.

12 października 1939 roku wrócili do domu moi dwaj bracia³. Po kapitulacji Warszawy zostali zwolnieni do domów. Następnego dnia musieliśmy się wyprowadzić z naszego mieszkania w cukrowni. 17 października obu braci wzięto jako zakładników na 24 godziny. Siedzieli w gmachu Sądu Powiatowego. Wrócili 18 października rano, a o godzinie 10.00 przyszli żandarmi i zabrali mego Ojca. W tym dniu aresztowano 40 mężczyzn z Gostynia i powiatu. W piątek, 20 października, wieczorem poszłam razem z mamą i siostrą zanieść Ojcu kolację. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że widzę mego ukochanego Ojca po raz ostatni.



Autorka wspomnień, wraz z ojcem Maksymilianem, na Krupówkach w Zakopanem (1938)

Następnego dnia, to znaczy 21 października o godzinie 10.00, rozstrzelano Go na Rynku, razem z 29 innymi mieszkańcami Gostynia i okolicy. Nikt nie jest w stanie zrozumieć, co myśmy wszyscy, a szczególnie rodziny tych trzydziestu, czuli. To była rozpacz straszliwa, ale też tym większa nienawiść do wroga i postanowienie, że należy pomścić śmierć Ojca.

Pierwszym transportem 8 grudnia 1939 roku cała moja rodzina została wywieziona, razem z innymi rodzinami rozstrzelanych do Generalnego Gubernatorstwa, do powiatu Rawa Mazowiecka.

Ja wraz z mamą, siostrą i braćmi dostaliśmy się do maleńkiej, bardzo biednej wioski⁴ i do jeszcze biedniejszego gospodarza. Izdebka mała, bez podłogi, klepisko, bez pieca. Dla nas było to coś strasznego. Przedtem taki

³ Do domu wrócili bracia Grzegorz i Tadeusz. Najstarszy Marian został zamordowany w Katyniu.

⁴ Pierwsze miesiące na wysiedleniu Piątkowscy spędzili we wsi Kurzeszyn.

dobrobyt, a teraz taka nędza. Do dziś pamiętam tamte zimne noce (zima 1939/1940 była bardzo ostra) i latające po izbie myszy. W tej wiosce mieszkaliśmy kilka miesięcy, później zabrano nas na folwark. Ponieważ chciało nam się jeść, mama sprzedała zegarek Ojca, a później swój. W międzyczasie przeniesiono nas do innego majątku⁵.

Bracia poszli do pracy, aby zarobić parę groszy na kupno tłuszczu. Głodowaliśmy okropnie. Wystarczy powiedzieć, że przez okres sześciu tygodni nie miałam chleba w ustach, więc gdy zobaczyłam dziecko jedzące świeży wiejski chleb, rozplakałam się. Teraz to się tylko wspomina, ale drugi raz nie chciałabym tego przeżywać...

W cukrowni Józefów koło Błonia, 15 kilometrów od Warszawy, był dyrektorem znajomy mojego Ojca. Dowiedziawszy się, że mamy taką okropną biedę, przyjechał do nas i zaoferował jednemu bratu pracę w cukrowni. Ten naturalnie pojechał i po kilku miesiącach ściągnął do siebie drugiego brata. W międzyczasie ja dostałam pracę w urzędzie gminnym. Pracowałam tam przez 13 miesięcy. Mieszkając w majątku, zaobserwowałam, że proboszcz dosyć często wyjeżdżał. Później dowiedzieliśmy się, że pracował w konspiracji i rozwoził tajną prasę, a nieraz i broń. Gdyby to przy nim znaleziono, byłby od razu rozstrzelany.



Rodzina Piątkowskich na wysiedleniu w Józefowie (1944).

Od lewej: Barbara – autorka tekstu, z bratem Grzegorzem, siostrą Ireną, bratem Tadeuszem i matką Józefą z Tomaszewskich

Bracia wystarali się o pokój i 1 sierpnia 1943 roku pojechaliśmy z mamą do Józefowa. Bardzo prędko zaprzyjaźniłam się z córką lekarza wysiedlonego z Nowego Tomyśla – Hanką Skalską, która wciągnęła mnie do orga-

⁵ Prawdopodobnie był to Kurzeszynek.

nizacji, do Armii Krajowej. Wtedy nie pytaliśmy się, co to za organizacja – chcieliśmy tylko walczyć z Niemcami. Zostałam zaprzysiężonym żołnierzem i wcielono mnie do patrolu sanitarnego, nadając pseudonim „Baśka”. Cała nasza drużyna miała pseudonimy – imiona. W 80 procentach nie znaleźliśmy swoich nazwisk, a to dlatego, aby przy jakiejś wpadce nikogo nie zdradzić.

Moja patrolowa miała numer telefonu do brata. Gdy miałam się stawić w Warszawie, to dzwoniła do niego i pytała się, „co u Basi słychać”. Brat wiedział, że to jest dla mnie rozkaz, że mam się stawić w stolicy.

Na początku mojej przynależności do AK miałyśmy punkt spotkania na ulicy Królewskiej. Później każda szła inną ulicą pod adres Wąski Dunaj 14, gdzie była nasza konspiracyjna komórka.

Opowiem jedną historię właśnie z tego okresu, na wspomnienie której teraz się śmieję, ale wtedy nie było mi wesoło. Nie mogąc doczekać się koleżanki na ulicy Królewskiej, przeszłam na plac Krasińskich. Tam po prawej stronie był kościół. Weszłam po schodach, a kiedy dotarłam do drzwi, nogi się pode mną ugięły. Kościół był pełen niemieckich żołnierzy różnych formacji. Aby nie wydać się podejrzana, weszłam do środka. Tam się coś odbywało – pewnie ich pastor odprawiał nabożeństwo. Pięć minutostałam i po cichu wyszłam. Jak strasznie się bałam, że pójda za mną. Schodziłam po schodach bardzo wolno i szłam jeszcze wolniej tak długo, aż nie weszłam na inną ulicę. Obejrzałam się i nie widząc za sobą nikogo, szybko pobiegłam pod znajomy adres. Gdy spotkałam się z koleżankami, te z miejsca poznały, że coś się stało, tak bardzo byłam blada. Wtedy powiedziano mi, że to jest kościół dla niemieckich żołnierzy i lepiej trzymać się od niego z daleka.

Gdy do Wisły zaczął się zbliżać front, widzieliśmy długie pociągi z rannymi niemieckimi żołnierzami jadące na zachód. Naturalnie my, Polacy, cieszyliśmy się z tego ogromnie. W naszej gwarze mówiło się, że „jedzie rąbanka”. Wszyscy czuliśmy, że coś się wkrótce zacznie. 28 lipca 1944 roku dostałam wiadomość, że mamy się z Hanką stawić w Warszawie. Poszłyśmy z koleżanką na stację kolejową na pociąg, który pojedzie do stolicy. Czekałyśmy długo, gdyż pociągi do Warszawy już nie jeździły. Wreszcie jechała sama lokomotywa. Maszynista, Polak, zgodził się nas zabrać pod warunkiem, że wysiadziemy na stacji we Włochach (to stacja przed dworcem Warszawa Zachodnia). Wsiadłyśmy przed stacją, bo ludzie dawali znać, że we Włochach „łapanka”.

Klucząc uliczkami, dostałyśmy się do Warszawy na ulicę Senatorską. Znajoma dała mi karteczkę z wiadomością, że mam zaraz stawić się na ulicy Mokotowskiej 14. Uściskałyśmy się wszystkie, uroniłyśmy kilka łez i poszłam. Już w niewoli dowiedziałam się, że Hanka, która walczyła na Czerniakowie, zginęła w Powstaniu.

Gdy dotarłam na Mokotowską, był już wieczór. Czekala tam moja patrolowa i jedna koleżanka. Następnego dnia przyszedł do nas nasz lekarz

z jeszcze jedną koleżanką i powiedział, że nasza placówka jest w szpitalu na Mokotowie. Dzień przed wybuchem Powstania byłam jeszcze z koleżanką „Danką” u lekarza na ulicy Piusa po nosze. Wracając, bałyśmy się, gdyż napotkani po drodze ludzie patrzyli na nas z jakimś niepokojem. W każdej chwili mógł nas zaczepić Niemiec i zapytać się, dokąd my z tymi noszami idziemy. Ale strach swoją drogą, a rozkaz swoją. Miałyśmy przynieść nosze, więc niosłyśmy. Na rozkaz przejścia na swoją placówkę miałyśmy czekać i nie ruszać się z miejsca.

Tak przyszedł pamiętny dzień – 1 sierpnia 1944 roku. Rano poszłyśmy kupić prowiant. Widziałyśmy bardzo dużo młodych ludzi śpieszących w różne strony miasta. Każdy z nas czuł, że w tym dniu coś się stanie. Niemcy chodzili po ulicach grupami, uzbrojeni byli „po zęby”.

I wreszcie się zaczęło. Była godzina 17. Usłyszałyśmy strzały z karabinów maszynowych. Wybiegłyśmy więc na ulicę, a tam już wielu ludzi budowało barykady – na ulicy Mokotowskiej od placu Zbawiciela i od ulicy Koszykowej, na Marszałkowskiej przy placu Zbawiciela. Ludzie wyrzucali co się dało, a my wrywałyśmy płyty z chodnika i kamienie. Gdyby Niemcy w tym momencie uderzyli „na całego”, to bardzo prędko by nas zgnetli. Jaką oni mieli broń! A jaką my, powstańcy?... Z takich żołnierzy jak my, to znaczy takich, którzy nie dostali się na swoją wyznaczoną placówkę, utworzyła się drużyna, później pluton, a na drugi dzień była już kompania.

Jakaś dziewczyna z ulicy Ogrodowej, którą Powstanie zastało na naszej ulicy, chciała koniecznie przedostać się do swojej rodziny. Chciałyśmy nawet z nią pójść. Doszłyśmy do ulicy Koszykowej, ustawiliśmy się i kolejno co kilkanaście sekund miałyśmy przebiegać na drugą stronę. Nieznajoma dziewczyna stanęła pierwsza, przeżegnała się i pobiegła. Gdy była już na drugiej stronie ulicy, padł strzał. Przebiegła jeszcze kilka kroków i upadła. Została trafiona przez wroga, tak zwanego „pajęczarza” albo „gołębiarza”. To byli świetni strzelcy ustawieni gdzieś na dachach. Strzelali oni do ludności cywilnej i do powstańców.

W momencie gdy ta dziewczyna upadła, podbiegł do nas młody mężczyzna i nie pozwolił przebiec na drugą stronę ulicy. Każda z nas niechybnie by zginęła. Okazało się, że był to porucznik „Tadeusz”, dowódca kompanii, do której należał potem nasz patrol. Dowódcą naszego plutonu był porucznik „Marian”, a dowódcą trzeciej drużyny – kapral „Zygmunt”. Gdy padła Starówka, przyszedł kanałem do naszego plutonu porucznik „Czarna” i porucznik Cybulski.

My, powstańcy, mieliśmy wszyscy uszyte białe-czerwone opaski, które z chwilą wybuchu Powstania założyliśmy sobie na lewe ramię (podczas Powstania wydano cichy rozkaz przełożenia opasek na prawe ramię).

Nasza placówka znajdowała się na ulicy Mokotowskiej 24. Posterunki były wystawiane przy ulicy 6 Sierpnia, Natolińskiej, placu Zbawiciela.

W naszej drużynie było kilku bardzo młodych chłopaków, 16-, 18-letnich. Mieli różne pseudonimy, takie jak: „Jotka”, „Władziu-Riksiarz”, „Rysiek”, „Zenek”, „Andrzej”, „Stary Tramwajarz”, kapral „Lech”, no i najmłodszy Artur (14 lat), który obrał sobie pseudonim „Karaluch”. Do patrolu sanitarnego należały: „Wanda” – patrolowa, „Danka”, „Gośka”, „Lena” i ja.

Nie zapomnę pewnego starszego człowieka, którego w drugim dniu Powstania Niemcy postrzelili w prawą dłoń kulą „dum dum”. To kula o uciętym czubku, która rozszarpuje ciało.

Niemieckie samoloty bombardowały nas bez przerwy – dzień i noc. Naokoło Warszawa się paliła – widok straszny, szczególnie nocą.

11 sierpnia zginął pierwszy z naszej drużyny – Andrzej Putowski. Przechodząc przez ulicę Piusa, nie schylił mocno głowy przy barykadzie, no i dostał. Pochowaliśmy go w podwórzu przy ulicy Mokotowskiej 24. Rozpacz jego matki była okropna, gdyż męża straciła już w Oświęcimiu. Po kilku dniach zginął „Rysiek”. Jak ten chłopak chciał żyć! Miał 16 lat... Jak okropnie bał się śmierci! A tu dosłownie moment, „Rysiek” nie zdążył nawet krzyknąć i już nie żył.

Kiedyś, podczas akcji, zobaczyłam całą drużynę z innej kompanii uduszoną przez zawalenie się domu. Do dzisiaj widzę chłopców, jak leżą jeden obok drugiego, ich twarze takie szare i ciche... Nie wiem dlaczego, ale właśnie oni zrobili na mnie największe, najbardziej przykre wrażenie.

Byłam sanitariuszką, ale jak trzeba, to też łączniczką. Robiło się coraz ciężiej, to znaczy zaczęło brakować jedzenia i wody, nie mówiąc już o amunicji. Mimo wszystko Niemcy się nas bali. Przecież naprzeciw wypalonego domu przy ulicy 6 Sierpnia Niemcy mieli bunkier z karabinami maszynowymi, a my, idąc na wyznaczoną służbę (dwóch żołnierzy i jedna sanitariuszka), mieliśmy po jednym granacie, a chłopcy jeszcze po jednym naboju do karabinu. Oprócz bombardowania z samolotów bili do nas pociskami z moździerzy salwowych. Broń ta nazwana była przez powstańców „krową” lub „szafą”, taki wydawała ryk. Przeważnie było sześć pocisków, więc liczyliśmy, ile wybuchnie. Byliśmy już tak przyzwyczajeni do tych huków, że podczas jednodniowego zawieszenia broni, gdy zapadła ogromna cisza, czuliśmy się bardzo niepewnie i nieswojo.

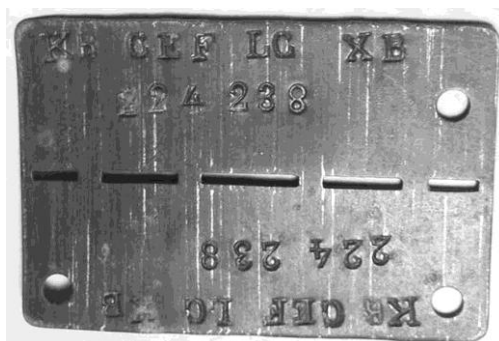
Pod koniec września nasz „Karaluch” został ranny odłamkiem. Zanieśliśmy go na ulicę Lwowską do szpitala „Sano”. Lekarze padali ze zmęczenia, tyle mieli pracy.

Przechodząc przez ulicę Śniadeckich, przez Muzeum Historyczne, patrzyłam z szaloną radością na Niemców wziętych do niewoli przez powstańców. Aby wszystko opisać, co przeżyłam walcząc w Powstaniu, musiałabym napisać książkę...

3 października 1944 roku komendant Warszawskiego Korpusu Armii Krajowej, generał brygady „Monter”⁶ wydał rozkaz dotyczący zaprzestania nierównej walki. Nastąpiła k a p i t u l a c j a.

Nas, żołnierzy Armii Krajowej, uznano za kombatantów i po złożeniu broni wyprowadzono do Ożarowa, skąd pociągami towarowymi wywożono do obozów jenieckich. Ja z „Wandą” znalazłyśmy się z grupą żołnierzy, których 12 października 1944 roku przywieziono do Sandbostel – Stalag X B. Był to obóz jeniecki, w którym przebywało 30 tysięcy żołnierzy różnych narodowości. Kobiety ulokowano w dwóch blokach, w dwóch różnych stronach obozu. Przyprowadzono nas wieczorem – zmęczone, brudne i głodne. Niemcy zezwolili wyjątkowo przynieść Polakom, jeńcom z 1939 roku, ciepłą kawę. Jak oni nas witali!!! Po pięciu latach mogli chociaż przez chwilę porozmawiać z nami o Polsce, o Powstaniu. Równie serdecznie witali nas jeńcy innych narodowości.

Po dwóch dniach przyszli Niemcy i trzech Polaków, w tym „mąż zaufania”. Zaczęli nas spisywać i nadawać nam numery. Ja otrzymałam numer 224 238. Parę dni przed naszym przybyciem do Stalagu X B wszyscy jeńcy dostali paczki z Czerwonego Krzyża z Genewy. Polacy, Francuzi, Włosi i inni zebrali się i samorzutnie oddali nam swoje paczki. Bardzo nas to wzruszyło.



Nieśmiertelnik obozowy Barbary Kretkowskiej ze Stalagu X B w Sandbostel

Wśród niemieckich żołnierzy byli też Ślązacy. Jeden z nich miał rodzonego brata wśród powstańców przywiezionych do Sandbostel. Ranny chłopak leżał w obozowym szpitalu. Ślązak pomagał bratu jak mógł, ale w końcu inni żołnierze niemieccy donieśli władzom obozowym i bracia nie mogli się widywać. Skąd o tym wiem? Bo miał kiedyś służbę przy naszym

⁶ Antoni Chruściel – generał brygady Wojska Polskiego; „Monter” to jeden z jego pseudonimów, w powstaniu warszawskim był dowódcą całości sił powstańczych, od 20 września 1944 dowodził Warszawskim Korpusem Armii Krajowej.

bloku i prosił nas, abyśmy przez naszego kapelana dały znać jego bratu, że na razie nie może go odwiedzać i mu pomagać.

4 grudnia 1944 roku wcześniej rano wyprowadzono podoficerów, między innymi też i mnie, pod silną eskortą żołnierzy niemieckich i kilka godzin prowadzono na dworzec kolejowy. Załadowano nas do towarowego pociągu i znowu jechałyśmy w nieznane. Nie wiem jak długo. W wagonach bydłowych, bez możliwości wyjścia, nie orientowałyśmy się, jak długo nas wieźli. Wyszadzili nas przed miasteczkiem, a następnie w czwórkach szłyśmy kilkanaście kilometrów. Byłyśmy głodne, zmarznięte i miałyśmy nogi poobcierane do krwi. Obóz w Oberlangen miał numer VI C i znajdował się cztery kilometry od granicy holenderskiej. Nie było w nim nikogo oprócz żołnierzy niemieckich i trzech Niemek. W Oberlangen były baraki z dwupiętrowymi pryzcami. Miałyśmy ponapychać sienniki słomą. Do tego dali nam po jednym kocu.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. A my, biedne i głodne, musiałyśmy je spędzać w niewoli. W Wigilię przyszli Niemcy, wzięli nas dwadzieścia dziewczyn i szłyśmy nad Kanał Ems, dokąd barką przywieziono chleb. Był czarny, stary i spleśniały, ale każda z nas ukradła po jednym bochenku, aby w Gwiazdkę nie być głodna.

Przypominam sobie, jak siedzimy w naszym baraku przy gałązce choinki (którą przyniosły dziewczyny wysłane do lasu po drewno) i śpiewamy po cichu kolędy, a każdej lecą łzy z oczu. Wszystkie byłyśmy myślami w Polsce, razem z rodziną. Po świętach poprzywozili inne dziewczyny, tak że było nas razem 1470 i dwoje niemowląt, które urodziły się w niewoli.

Codziennie rano odbywał się apel. Liczono nas skrupulatnie, sprawdzając, czy która nie uciekła. Do roboty prowadzili nas pod eskortą z karabinami. Pracować kazali, a jeść nie dawali. Codziennie rano była „herbata”, czyli jakieś zioła, a w południe zupa (czyli woda, a w niej dwa ziarenka grochu albo woda z kawałkami ziemniaków, które nie były obierane), zupa ze zgniłej brukwi lub ze zmarzniętego jarmużu. Wieczorem o godzinie 17.00 dostawałyśmy jeden mały czarny chleb na 10 osób, po łyżeczce marmolady z buraków, po łyżeczce cukru, no i „ziółka”. Tego chleba było tak mało, że zjadało się go od razu i czekało na następny dzień do godziny 17.00. Ten głód to było coś strasznego i dlatego dziewczyny, które chodziły do roboty do kuchni (dla żołnierzy niemieckich) kradły ziemniaki i jarzyny. Kucharze wiedzieli o tym, ale odwracali się i udawali, że tego nie widzą. Wśród Niemców też byli dobrzy ludzie i nas żalowali. Przecież w obozie były same dziewczęta. Czasem tylko zdarzały się starsze kobiety. W naszym baraku znalazła się nawet dziewczynka – Żydówka mająca 13 lat.

Do obozu Niemcy sprowadzili księdza Włocha oraz dziesięciu Włochów – elektryka, hydraulika itp. To byli też jeńcy wojenni.

Do domu wolno nam było pisać jeden list na miesiąc. Oni dawali nam specjalne druki. Listy od nas i pisane do nas szły przez cenzurę. Jak dali nam pierwszy list do napisania, to nie wiedziałam, co mam pisać, gdyż to, o czym chciałam, było zakazane. Dali też nam blankiet, aby rodzina mogła przysłać paczkę. Dostałam jedną taką paczkę, będąc już w Oberlangen. Nikt nie może sobie wyobrazić mojej radości, gdy w paczce znalazłam klopsiki zalane smalcem. Naturalnie podzieliłam się z moimi koleżankami, z którymi żyłam się w niewoli.

10 lutego 1945 roku dostałam 40 stopni temperatury. Przyszła nasza obozowa lekarka, pani doktor Dobrowolska, i stwierdziła obustronne, ciężkie zapalenie płuc. Zabrano mnie do „szpitala”, który znajdował się na terenie obozu. Leżałam cztery tygodnie bardzo ciężko chora – dwa razy przechodziłam stan agonalny, ale organizm jednak przezwyciężył chorobę i wyszłam zdrowa. Wyglądałam bardzo źle. Stary wermachtowiec, który prowadził nas zawsze pod karabinem do pracy i z pracy, zabrał nas do kantyny i najpierw postawił mnie na wagę. W szynelu wojskowym i w butach z cholewami ważyłam „aż” 39 kilogramów.

Nie mogłam w to uwierzyć. Przed Powstaniem martwiłam się, że tak dużo ważyć (68 kg), a gdybym wtedy ważyła z 50 kg, to nie pisałabym teraz tego, bo leżałabym tam daleko, pod granicą holenderską, w niemieckiej ziemi.

Podczas mego pobytu w szpitalu słyszałyśmy zbliżający się front. Cieszyłyśmy się jak dzieci, gdy słyszałyśmy lecące bombowce, a później widziałyśmy na niebie „kolorowe choinki”, a zaraz potem bombardowanie. Robiliśmy zakłady, kiedy zostaniemy uwolnione. Wszyscy, razem z Włochami, myśleliśmy, że Święta Wielkanocne będziemy obchodzić już na wolności. Niestety...

Wreszcie przyszedł czwartek, 12 kwietnia 1945 roku. Rano na apelu okazało się, że nie ma już naszych trzech „opiekunek”, komendanta obozu i kilkudziesięciu żołnierzy wermachtu. Zostali tylko ci żołnierze, co byli na wieżyczkach, i najgorszy – obercalmajster⁷, twierdzący, że on się żywy w ręce wroga nie odda (został schwytany w piwnicy z bronią w ręku i zaraz rozstrzelany). W ten dzień nie dostałyśmy już nawet „zupki”.

Leżałyśmy zrezygnowane na pryzkach, gdy raptem około godziny 14.00 usłyszałyśmy strzały z karabinów maszynowych. Wybiegłyśmy wszystkie przed bloki (bardzo nierozsądnie, gdyż mogłyśmy właśnie zginąć od zabłąkanej kuli). Po tamtej stronie drutów biegł żołnierz ze stenem⁸ na pierśiach, brudny, zmęczony, ale uśmiechnięty.

Dziewczyna, która była najbliżej drutów, krzyknęła z radością: „O Boże! Anglicy nas uwalniają!”, na co żołnierz, odwracając się w naszą

⁷ der Oberzahlmeister – tu: główny skarbnik obozowy.

⁸ Sten – brytyjski pistolet maszynowy opracowany w 1941 roku.

stronę, krzyknął: „Polacy, dziewczyno! Polacy, nie Anglicy!“. Za chwilę przez cały obóz, gniotąc zniecierpliwione druty, przejechał czołg i zatrzymał się na końcu obozu. Przyjechała jeszcze jedna tankietka i jeden jeep, a w nim dowódca 2. pułku pancernego pułkownik Koszutski⁹.

Dosłownie w ciągu pięciu minut stałyśmy wszystkie przed swoimi blokami w dwuszeregu, wyprostowane „na baczność”, a na maszt „nasi” Włosi wciągali sztandar biało-czerwony. Z wszystkich piersi się wyrwało: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Płakałyśmy wszystkie z radości, całowałyśmy się – wreszcie WOLNE!!!

Uwolnione zostałyśmy przez żołnierzy polskich z 1. Dywizji Pancernej generała Maczka. Wojna jeszcze trwała – przecież to był dopiero 12 kwietnia 1945 roku! – ale my już śpiewałyśmy piosenkę ułożoną przez jedną z koleżanek:

*Już przeminęły niewoli dni,
Nad Oberlangen polski orzeł łśni,
Sztandar powiewa, słyhać wszędzie polski śpiew,
Już jestem wolna, już nie jestem „KGF”¹⁰!*



Spotkanie kombatantów z młodzieżą w Szkole Podstawowej nr 3 im. Przemysława II w Gostyniu (1985). Autorka wspomnień (w środku) wielokrotnie uczestniczyła w lekcjach żywej historii

⁹ Stanisław Paweł Koszutski, pułkownik dyplomowany Polskich Sił Zbrojnych, dowódca 2. pułku pancernego 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka.

¹⁰ KGF – der Kriegsgefangene, niem. *jeniec wojenny*.